

Mieś. „WIEZ” - nr. 9 / 1988 r.

© ARKON, Warszawa  
II / 27 11

## Z PROBLEMÓW NAJNOWSZEJ HISTORII POLSKI

Eugeniusz Bondarczuk

### Jeden miesiąc w życiu

Niewielki ośmiokartkowy zeszyt w szarej okładce z papieru do pakowania, który znalazłem w domowej szufladzie, zawiera zapiski prowadzone na gorąco przez mojego Ojca, Eugeniusza Bondarczuka w okolicach Stalinogorska zimą 1945/46 roku.

Ich autor – wówczas 27-letni mężczyzna – znalazł się tam z wieloma innymi Polakami po kilku dniach wolności od hitlerowskich okupantów.

Ojciec był mieszkańcem Przasnysza, absolwentem miejscowego gimnazjum. Nie brał czynnego udziału w konspiracji. Podczas przełomowych wydarzeń w styczniu 1945 roku zgubił dokumenty osobiste wydane przez Niemców. Nie miał się czym wylegitymować żołnierzom radzieckim, których przypadkowo spotkał na ulicy. I to wystarczyło. W innych przypadkach powodem zatrzymania okazywała się „konieczność” wymiany takich dokumentów na nowe.

Mój Dziadek Teodor (felczer z zawodu) próbował wyjaśnić problem tożsamości syna. Spotkali się po kilku miesiącach w obozie Nr 26.

Obydwaj już nie żyją. Dziennik pozostawiony przez Ojca pisany był z myślą o narzeczonej, która nieco później została moją matką. Nadzieja wyrażona w ostatnim zdaniu prezentowanego tekstu spełniła się. Moi rodzice spotkali się 20 stycznia 1946 roku. Dziadek „zbałamucił” jeszcze 5 lat.

Tytuł dziennika „Jeden miesiąc w życiu” pochodzi ode mnie. Koresponduje z głośnym niedługo utworem Aleksandra Sołżenicyna „Jeden dzień w życiu Iwana Denisowicza”, który był publikowany również u nas.

Podając niniejszy tekst chciałbym go zadedykować innym mieszkańcom Przasnysza i okolic, którzy podobnie jak Ojciec i Dziadek zostali internowani przez wojska radzieckie, a właściwie ich pamięci, bowiem w większości ludzie ci już nie żyją.

Byli to: Jan Bartosiewicz (rolnik), Jan Butkiewicz (rolnik ze wsi Romany Sebory), Antoni Boczkowski (rolnik), Stefan Boczkowski (ogrodnik), Leon Boczkowski (rolnik), Konstanty Ciesielski (młynarz), Józefa Czaplinska (rolniczka z Krzynowłogi Małej), Kazimierz Ekiert (młynarz), Wincenty Jasiński (rolnik), Janusz Jaszczyński (z Krasinca), Stefan Kisiel (rolnik z Mirowa), Henryk Krzyżewski (rolnik), Ludwik Krajewski (rolnik), Władysław Kacprzycki (młynarz), Michał Leszczyński (urzędnik starostwa), Władysław Marchewka (rolnik ze wsi Romany Sebory), Tadeusz Marchewka (rolnik ze wsi Romany Sebory), Jan Marchliński (robotnik ze wsi Romany Sebory), Józef Masalski (kowal), bracia Zygmunt i Jan Myśliński (rolnicy ze wsi Romany Sebory – zmarli w ZSRR), Stanisław Kunkowski i jego brat Kazimierz Kunkowski

(robotnicy ze wsi Romany Sebory), Niewiadomski (robotnik), Stefan Nur (rolnik) i jego brat Stanisław Nur (robotnik) – obydwaj ze wsi Romany Sebory, Józef Osiecki (robotnik ze wsi Romany Sebory), Aleksander Osiecki (rolnik ze wsi Romany Sebory), Marian Sosnowski (rolnik), Konstanty Śliwkowski (rolnik – zmarł w obozie), Marian Sotliwudzki (rolnik), Aleksander Wróbel i Jan Wróbel (robotnicy ze wsi Romany Sebory), Wacław Zarębski i Jerzy Zarębski (rolnicy ze Ślubowa).

Lista ta, zwłaszcza odnośnie terenów wiejskich, jest rzecz jasna bardzo wyrwykowa, bo odnosi się tylko do mieszkańców kilku wsi.

Mariusz Bondarczuk

### Listopad 1945

Jesteśmy w obozie Nr 9. Przybyłem doń z obozu Nr 26 18 kwietnia i w tym obozie użyłem najlepszego i najgorszego. Poprzez naczelnika zmiany, prostego szachtiora, kierownika kuchni (będąc tam spotkałem się z ojcem, którego przeprowadzono z innego obozu) pozostałem pracownikiem tzw. San-czastu – ambulatorium obozowego. Tu przetrwałem aż do 18 b.m. Gdybym pracował gdzie indziej, należałbym do tych szczęśliwców, którzy dziś już od prawie 3 miesięcy są w domu i tylko wspominają o obozie. Ale cóż, tak już chce los. Pracujemy razem z ojcem. Śpimy jak na naszą sytuację w najlepszych warunkach (coś w rodzaju łóżka – prześcieradła i koce). Jemy według dziesiątej normy, tj. normy dla chorych, a oprócz tego ojciec ma kontakt z kuchnią – zdejmuje próby z przygotowywanych potraw, a to ma bezwzględnie dobrą stronę. Przez naszą pracę staram się jak najwięcej pomóc moim współtowarzyszom niedoli, którzy są w gorszych warunkach, dając im nadprogramowe zwolnienia od pracy lub często oddając własne obiady czy kolacje.

Dni są coraz zimniejsze. Czuć nadchodzącą ostrą, podmoskiewską zimą, której każdy z nas się boi. W obozie coraz więcej mówi się o likwidacji obozu i o odesłaniu nas do domu. Nastroje w obozie są różne. Jedni wierzą w rychły nasz wyjazd – ja należę wraz z kilku nielicznymi do pesymistów. Nie wierzę moim opiekunom zbyt – dwa razy zwiedli mnie. Czuję, że i teraz fiasko.

Jednak coś faktycznie zaczyna się dziać. Jest zrobiona lista „poddanych” państwa polskiego. Zdać sienniki i podglówki, przechodzimy na inny obóz, a stamtąd do Polski. Ja oczywiście postawiłem na tym wszystkim duży znak zapytania.

Pod czułą opieką naszych gospodarzy przechodzimy do obozu Nr 16. Spotykamy tu znajomych, którzy przeszli tu już od nas miesiąc wcześniej i zaczynamy nowe życie. W obozie jest woda bieżąca (dotychczas nie spotykałem tego luksusu) i nie ma kopalni. Praca wyłącznie budowlana. Ojciec po komisji lekarskiej otrzymuje IV, tj. inwalidzką kategorię, która zwalnia od pracy fizycznej. Ja wraz z moimi towarzyszami wcieleni zostajemy do brygad roboczych. Do chwili odjazdu – śmiać mi się już z niego chce – mamy odbudowywać Rosję, bowiem jej inżynierowie i lepsi robotnicy budują Warszawę, a Czerwona Armia w swoim czasie oswobodziła nas spod niemieckiego jarzma. Ironia losu! Wstajemy o wpół do piątej.

W Przasnyszu w tym czasie jest godz. 2.30. Brygadami idziemy na pseudo śniadanie. Niejeden z nas z wielką przyjemnością zamieniłby to śniadanie na to, co Twoja Mama, Helenko, gotowała w wielkim saganie. O 7 do pracy. Około 8 zaczynamy „budować”. Twarda zamarznęta ziemia, łomy, szpadle, nositki, siekiery, piły – bijemy, nasypujemy, przenosimy, przybijamy i tak ażeby tylko nie zmarznąć. O 16 powrót i znowu podobne śniadanie, kolacja i idziemy spać. Po barakach przepętnienie, ciasnota, kurz, brud, pluskwy.

Mijają dni za dniami. Rozgoryczenie nie ma granic. Nasz dom, rodziny, żony, narzeczone, dzieci, najbliższych widzimy w snach – w marzeniach. Najszczęśliwszym momentem w naszym życiu jest chwila zasypiania, gdyż w tych kilku godzinach wracamy do tych, których straciliśmy prawie przed rokiem. Wracamy do życia, z którego wyrwał nas zły los. Kiedy wrócimy do tych, o których śnimy, przy których jesteśmy nierozdzielnie uczuciami? Nieraz przychodzą czarne myśli do głowy. Skończyć albo z sobą, albo z tym nędznym życiem i spróbować szczęścia. Może uda się przebyć tych 1200 km i znaleźć się znów wśród ludzi. Żał mi tylko ojca. Nie mogę zostawić go samego w tych ciężkich warunkach, schorowanego, rozbitego psychicznie, samego z własnymi szarymi myślami. A dla mnie samego przeszkód nie ma. Fraszką są druty, uzbrojeni w automaty konwojenci, mrozy, śniegi, przestrzeń. Zahartowałem się w Rosji pod każdym względem. Bez zmruczenia oczu mogę zabić tego, kto stanąłby na drodze ku wolności – ja, który przedtym nie mogłem zabić kurczaka.

### *30 listopada*

Idziemy na śniadanie. Na drodze jeszcze ciemno, tylko światła strażnicze dookoła obozu rzucają złowrogą poświatę na okalające nas druty kolczaste. Na śniadanie nędzna, czarna woda bez chleba. Nie jemy. Nasza brygada wraca do baraków. Za nami wracają inne. W obozie sędny dzień. Czegoś podobnego w Rosji sowieckiej się nie urządza. Nie chcemy iść do pracy. Wyganiają nas siłą. Poszliśmy na miejsce pracy – nie pomogły przekleństwa, ani straszenia – nie pracowaliśmy. Na innych punktach pracowano. Pomarzliliśmy na zimnym wietrze z mokrym śniegiem i o 16 wróciliśmy z powrotem.

Wieczorem zebranie – mityng. Sądzą naszych kolegów, ale obiecują poprawę w odżywianiu. Niektórzy z kolegów dostają po 10 dni aresztu ścisłego z wyjściem do pracy. My oponujemy i w końcu przyrzeczenie 120<sup>o</sup> wykonania normy pracy zwalnia naszych kolegów.

### *1 grudnia*

Śniadanie faktycznie dużo lepsze. Chleb dostajemy. Strajk pomógł. Idziemy do pracy. Pamiętamy o danym słowie i pragniemy pokazać, że